

Kronika słowiańska.

CENA

z odwiezieniem do domu lub przesyłką

pocztowa:	Zł.	Gr.	Fr.
na rok:	4	3.40	7 8
1/2 roku:	2	1.70	3.50 4
1/4 roku:	1	—85	1.75 2

Pojedynczy numer 15 centów.

Za ogłoszenia od wiersze drobnego 10 ct.

Pismo poświęcone sprawom polecznym, gospodarczym, naukowym i politycznym, tudzież literaturze i sztuce w ogóle, ze szczególną uwagą na narody słowiańskie.

WYCHODZI

dnia 1. i 16. każdego miesiąca, a jeśli w dzień taki przypadnie święto w pierwszy następny po nim dzień powszedni.

REDAKCJA, ADMINISTRACJA i EXPEDYCJA w rynku 1. 31.

Rękopisy się nie zwracają.
Pisma nieopłacone się nie przyjmują.
Otwartych reklamacji się nie opłaca.

Nr. 1. „Kroniki słowiańskiej“ miał wyjść d. 1. b. m. — Pewne niestosowne wymagania odnośnych c. k. władz miejscowych, od którego w końcu same odstąpiły, spowodowało opóźnienie. Nagrodzonym to zostanie Szanownym czytelnikom wydaniem na początku p. m. dwóch numerów razem.

Słowo wstępne.

Czasopismo niniejsze, jak nazwa jego wskazuje, będzie przede wszystkim zbiorem różnych bieżących wiadomości z krajów słowiańskich, a podawane one w niem będą w sposób, ile można, dla wszystkich przystępny.

Narodowi naszemu, jednemu z najważniejszych w Słowiańszczyźnie, potrzeba jest znać dobrze inne słowiańskie narody i wiedzieć dokładnie co się u nich dzieje, oraz jak się one na nasz naród zapatrują.

Ogół piśmiennictwa polskiego za mało się dotąd zajmuje wiadomościami z krajów słowiańskich. Luka w tym względzie jest w niem widoczną. „Kronika słowiańska“ więc temi się szczególnie zajmując, przyczyniać do zapelnienia, przynajmniej w części tej luki.

Zdaje się nam, że pismo to jest rzeczywiście pożądanem, a chwila do powstania jego bardzo stosowna. Społeczeństwo nasze coraz więcej interesuje się pobratymczymi, zwłaszcza najbliższymi nas, narodami. Jest to tem bardziej naturalnem, że przy obecnem coraz więcej wzmagającym się politycznem znaczeniu Polaków, a zwłaszcza w ministerstwie i parlamencie austriackim, muszą oni koniecznie postępować w pewnem porozumieniu z innymi Słowianami.

W „Kronice słowiańskiej“ drukowane będą:
1. Jako artykuły wstępne, odpowiednie rozprawy w duchu czasopisma i wszelkiego rodzaju artykuły o sprawach bieżących.

2. Korespondencye z różnych krajów a zwłaszcza słowiańskich.
3. Różne artykuły, bądź oryginalne bądź tłumaczone, podające szczegółowe wiadomości odnoszące się do krajów słowiańskich.
4. Zyciorysy słowiańskich znakomitości.
5. Opisy podróży po krajach słowiańskich.
6. W miarę na to miejsca, poezye i powieści słowiańskich pisarzy.
7. Wiadomości z dziedziny piśmiennictwa i sztuki w ogóle, a szczególnie narodów słowiańskich.
8. Różne ciekawe i pożyteczne wiadomości z całego świata.

Przyjąwszy taki wybór przedmiotów dla naszego czasopisma, będziemy się starali z całą usilnością, tak je prowadzić, aby było prawdziwie użytecznem dla rodaków a zarazem miłym dla wszystkich życzliwych naszemu narodowi pobratymców. Pragniemy, aby pismo to umieszczanemi w niem wiadomościami było rzeczywiście interesującym i korzyść praktyczną przynosiło, a nie zrażało niczem żadnego dobrego Słowianina. Nie mamy więc zamiaru poruszać, na swoją rękę, spraw dla Słowian drażliwych, ani też wydawać o nich sądu. Jedynie wiadomości, jakie przedmiotowo podawać będziemy, mogą pobudzać i być pewną podstawą do zastanawiania się nad najważniejszymi dla Słowian sprawami, o których zdanie i sąd zostawiać będziemy samym Szanownym czytelnikom.

Pismo nasze powstaje w Szląsku. Na tej ziemi słowiańskiej gdzie lud jej właściwy, polski i czeski, jest od wieków w ciężkiej walce z cisnącym się tu coraz bardziej, na szkodę tego ludu i narodów do których należy, żywiołem niemieckim. W obec tej walki okazuje się praktycznie konieczna potrzeba wszelkiego możliwego skupiania się Słowian i wzajemnego interesowania się sobą. Zrozumienie tej, naocznej tu, potrzeby, zrodziło.

też myśli wydawania pisma mającego temu służyć. Myśl ta powstała już dość dawno. Jest przeto dostatecznie rozważona. O ile mówiliśmy z kim o niej, jak np. ze znaczną liczbą najpoważniejszych z różnych stron rodaków podczas jubileuszu Kraszewskiego w Krakowie, była zawsze dobrze przyjęta. Bodaj by więc teraz, gdy zostaje wykonana, zyskała pożądane poparcie.

Wytycznym celem „Kroniki słowiańskiej“ będzie pracować, w myśl zdań tu wypowiedzianych, ter w wzajemnem poznaniem się i zbliżeniem, w sposób praktyczny, Polaków z innymi Słowianami.

Obszerniej o zadaniu naszego przedsięwzięcia nie rozpisujemy się tutaj. Sądzymy, że wartość tego będzie mogła być najlepiej poznana i oceniana z samego czasopisma. Mamy nadzieję, że potrafi ono wyrobić sobie powszechnie wzięcie i uznanie.

Pomimo że będziemy mieli korespondentów ze wszystkich krajów słowiańskich, czujemy dobrze, iż pismo nasze, zwłaszcza na razie, tylko bardzo skromnym wymaganiom odpowiedzieć będzie w stanie. Będzie też dosyć drogiem. Spoczątku jego istnienia być inaczej nie może. Musi być tak obmyślane żeby się utrzymało, a jeśli, tak jak nam się zdaje, jest potrzebnem, to zyska niezawodnie tyle pod każdym względem poparcia i takie wyrobi sobie stosunki, iż będzie mogło, w niedalekiej przyszłości, należycie się rozwinąć. W takim razie będzie coraz lepszej treści oraz powiększonym, a wtenczas stosunkowo i taniej się stanie.

W imię celów dla których podjęliśmy wydawnictwo i redakcję „Kroniki słowiańskiej“ prosimy najusilniej, wszystkich życzliwych temu przedsięwzięciu, o łaskawe popieranie go, bądźto swem piórem, bądź też prenumerowaniem i zachęcaniem do tego drugich. Numer pierwszy „Kroniki słowiańskiej“ zozesłany zostaje „na okaz“, zamiast prospektu, pod

Wierni kraju synowie.

Szkic z życia ludowego w Szląsku.

Napisal J. K.

W małej wiosce, położonej około Cieszyna, w skromnej chacie rolnika, obchodzono właśnie chrzciny pierworodnego syna. Była to chwila uroczysta dla młodych rodziców, bo poraz pierwszy głębiej zastanowili się i rozważyli, jakie na nich ciąży obowiązek, jaka na nich spada odpowiedzialność względem ich małego Jasia a zarazem społeczności, dla której wychować go mieli. Na wesołość i dowcipem przyprawianie życzenia i pochwały, a gdzie niegdzie także żartobliwe docinki kmiotków i całego licznego grona biesiadników, którym smakująca warzonka i piwo języki rozwiązały, młodzi rodzice, z prawdziwym talentem, dawali swoje odpowiedzi, przechodząc z łatwością z tonu poważnego w żartobliwość i niewinną wesołość.

Pomiędzy biesiadnikami siedział za stołem piękny młodzian, ubrany z miejska. Był to syn starego wójta tej wioski, ucieszający do szkół w Cieszynie, gdzie pilnością i skromnością swoją pozyskał sobie miłość i szacunek kilku profesorów.

Naumyślnie brzybił on na uroczystość tę z miasta, bo ściśle był zaprzyjaźniony z Janem, młodym rodzicem, więc wiedział że obecnością swoją go ucieszy. Niemniej przyszedł na nią i dlatego, że sam, o ile obowiązki szkolne na to pozwalały, najraczej przebywał pośród ludu wiejskiego, z którego będąc, nie odrywał się od niego lecz Ignął doń z całego serca.

Kiedy chwilowo gwar ustał, a cisza w „świetnicy“ zapanowała, Jan — rodzic młody — jako gospodarz domu odezwał się do niego z prośbą: „Pawle, zaśpiewaj nam jaką piosnkę, ty się znasz na tem.“ Natychmiast wstał chętnie z swojego miejsca, i dzwicznym głosem zanucił poloneza. Przypadkowo nauczył się go w mieście, a ponieważ szczególnie mu się upodobał, a wreszcie może i dla innych jeszcze powodów, korzystając z nadarzonej sposobności, wszystkie zwrotki jego wśród grona, w którym się znajdował, odśpiewał. Biesiadnicy podziwiali piękną melodyą poloneza, jaki dawniej dobrze był znany w Szląsku pod nazwą „powolnego“ (tańca), a dziś mało już bywa tańczony. Z wielkim też zajęciem przysłuchiwali się treści śpiewanych jego wierszy. Po skończeniu, proszony o to, chętnie powtórzył całą śpiewkę, a na pięknej jego twarzy promieniała radość niewymowna. Widocznie cieszył się mocno, że słuchające pieśń odśpiewaną sobie upodobał, bo było to najlepszą zapowiedzią, iż z ust do ust podawana, najszerszego dozna rozpowszechnienia; o co mu się też rozchodziło.

Jan podczas śpiewu głęboko się zadumał, gdy utkwiała mu w głowie zwrotka:

„Miło tupnąć o tę ziemię,
Wszakże to jest ziemia nasza;
Tutaj wzrosło polskie plemię,
Tu się rodzi chleb i kasza.“

Następnie Paweł odśpiewał jeszcze kilka krakowiaków i pieśni narodowych, a zakończył wygłoszeniem znanej ballady: „Jakich wiele.“

Kiedy skończył swą deklamacją, spostrzegł z niej jedno oko toczące się łzę; a szczególnie matka Jasieńka małego, nie mogła powstrzymać westchnień i lez zrobiła nad nim znak krzyża świętego, a z cicha śla do Najwyższego gorącą modlitwę, ażeby jej Jasieńka obdarzał świętą opieką swoją; ażeby uchował go od przedstawionego w słyszanych wierszach ballady grzechu. W tejsze chwili miłutkie dzieciątko oczęta otworzyło, poraz pierwszy do matki się uśmiechnęło i do łona przytuliło, jakoby rozumiało o co matka płacze i chciało w niej usunąć wszelki ślad fałszywego przecucia.

Na ten widok smutna jej twarz zajaśniała radością niewysłowioną, w oczach jej szczęście zabłysło, serce silnie uderzyło.

Któż pojąć potrafi, jak silne czyste uczucie w matce wywołuje pierwszy uśmiech dziecięcia! Nic do niego przyrównać nie można, — chyba jedno tylko uczucie miłości Boga i ojczyzny.

Po chwili milczenia, Jan nieznacznie przyciągnął się do Pawła, a ująwszy go za rękę, przytłumic głosem dziękował za pięknie „bajki.“ Następnie młody pokolenie, pacholcy i dziewczki służebne a również synowie i córki zamożniejszych gospodarzy, niby bezwiednie, w jedną się skupili gromadkę. Tu wkrótce pierwotna wróciła wesołość; śmiechy i chichoty przytłumiały gwar sąsiedniego kółka starszych osób. Gęsto jak grad padały tu dowcipy, żarty, przechwałki i różne żartobliwe posądzenia. Paweł w tych rozmowach czynny brał udział. Ujmował się za zawstydzonymi, nieśmiały zachęcał do rozmowy kładąc im w usta swoje dowcipy, zbyt śmiały napastników i przechwałków

adresem osób, u których należy się spodziewać życzliwego dla tego czasopisma usposobienia, tudzież korporacyi, w składzie których znaczniejszego zastępu zwolenników oczekuje.

Następne numera posyłane będą tylko za złożeniem prenumeraty.

Upraszamy najuprzejmiej osoby, które do ręki numer okazowy czasopisma tego dostaną, o poświęcenie chwili czasu na poznanie się z niem oraz podanie łaskawe wiadomości o temże innym, a to w celu zwrócenia, ile można, powszechnej na nie uwagi.

Szanowne Redakcye polskich czasopism upraszamy o życzliwe polecenie „Kroniki słowiańskiej“ swym czytelnikom, a w miarę możności powtórzenie przytem, chociaż w części, naszych słów powyższych. Szanowne zaś Administracye wszystkich pism słowiańskich o łaskawe przysyłanie nam ich „w zamian.“

Redakcya i wydawnictwo „Kroniki słowiańskiej.“

Brak równouprawnienia narodowościowego w Szląsku austriackim.

Nic zapewne więcej nienaturalnego i niesprawiedliwego, a w skutkach złego, tak dla państwa jak jego szląskich słowiańskich obywateli, nie zostało w Austrii ze starego, usuwanego dziś, systemu rządu, jak brak równouprawnienia narodowościowego Szląsku. Istniejąca od lat tylu konstytucya jest tutaj martwą literą. Gdy art. 19 ustawy zasadniczej zapewnia każdej narodowości zupełne równouprawnienie, tak w szkole jak urzędzie, tu narodowość słowiańska wcale go nie ma. Będąc w ogromnej większości wobec Niemców, niema ona żadnej szkoły wyższej słowiańskiej. Słowiańskimi szkołami są jeszcze jedynie wiejskie szkoły ludowe, gdyż największa ich liczba innemi być nie może, mając dzieci tylko słowiańskie, lecz i te szkoły, szląskie nad nimi władze usiłują koniecznie zniemczyć. W sądownictwie język ludności słowiańskiej urzędowo nie jest dopuszczany. Podania więc nie niemieckie i załączniki nie tłumaczone na język niemiecki się nieprzyjmują, ze szkodą dla stron czasu i pieniędzy. Rozprawy zaś sądowe odbywają się w ten sposób, że się przemawia przeciw stronie oskarżonej po niemiecku, chociaż nie zna całkiem tego języka. Zastępcy jej nie wolno powiedzieć obrony inaczej jak po niemiecku. Potem zaś prowadzący rozprawę zapytuje się strony, która nic nie wie co głównie przeciw niej lub na jej korzyść powiedziano, czy nie ma co do dodania na swoją obronę, to jest do tego co obrońca w niezrozumiałym jej powiedział języku. Zapytanie takie wychodzi tylko na cześć uczynienie zadość formie. Strona bowiem po zapytaniu tem mawia:

„ja tam nie wiem co panowie“ (oskarżyciel i obrońca) mówili, to się też już na panów zdaje.“ Otóż w taki sposób jest sądzony lud słowiański w Szląsku, w europejskiem państwie konstytucyjnym z końcem 19. stulecia, a to wbrew tak szczeremu życzeniu naszego dobrego Monarchy, żeby wszystkie ludy pod jego panowaniem będące równą miały sprawiedliwość.

Czyż może być coś bardziej nieprawidłowego i niesprawiedliwego? Ludność też słowiańska Szląska oczekuje, z wielką niecierpliwością, od obecnego ministerstwa, aby konstytucya, obowiązująca tak dobrze jak ludy i rząd, raz przecie i dla niej w życie wprowadzona została.

Aby tę powinność wykonać, przyjdzie ministerstwu wziąć się do tego z całą energią. Wypadnie usunąć ze Szląska cały szereg urzędników starego systemu i umiejących urzędować tylko po niemiecku. Trzymają się oni owego systemu tak silnie, że ciągle, pomimo innych dążeń Korony i ministerstwa, w duchu tego systemu postępują.

To że obecnie ludność słowiańska Szląska nie ma wiernej jej reprezentacyi w Radzie państwa, wynikło skutkiem nieprawidłowego postępowania przy wyborach. Było bowiem rozporządzenie, aby na wybory władze rządowe nie wpływały. W Szląsku zaś władze te wpływały na wybór centralistycznych kandydatów. Są też oni teraz posłami w Radzie państwa i tam przeciw rządowi głosują.

Nie są to wszakże prawdziwi przedstawiciele Szląskiej ludności, ale raczej przedstawiciele ducha szląskich urzędników. Większość ogromna ludności jest w zgodzie z dążnościami Korony i teraźniejszego rządu i sprawiedliwości dla siebie z upragnieniem oczekuje. Bodajby ta przyszła dla niej jak najprędzej, gdyż dziejące się jej krzywdy są coraz dotkliwsze. Każde bowiem złe bywa na końcu zwykle najgorsze.

Aby słowiańskiemu ludowi w Szląsku stała się sprawiedliwość, powinni dbać o to w radzie państwa, z całą usilnością, polscy i czescy posłowie, a to tem bardziej, że lud ten nie ma tam własnych dobrych zastępców. Za wzór do działania w tym duchu powinno im służyć solidarne postępowanie centralistów w całej Austrii. Oto np. niedawno, bo 29. marca br., uchwalili na walnem zgromadzeniu niemieckiego stowarzyszenia w Opawie, na wniosek jednego z członków, rezolucyę treści następującej: „Stowarzyszenie niemieckie w Opawie uznaje za spólny interes wszystkich Niemców austriackich, zachowanie niemieckiego charakteru uniwersytetu pragskiego i spodziewa się, że wszyscy Niemcy austriaccy wystąpią solidarnie w celu utrzymania tego ogniska niemieckiej kultury.“ Gdy więc tak Niemcy szląscy, w duchu przeciwnym słuszności, do sprawy uniwersytetu pragskiego się mieszały, to

czemuż Słowianie z Czech i Galicyi nie mają się w duchu sprawiedliwości, za swymi braćmi w Szląsku upominać, a co leży i w ich własnym interesie.

obec podniesienia już tej sprawy w poselskiem kole polkiem w Wiedniu, na wniosek Szanownego posła Tyszkowskiego o „krzywdzie szląskiej“, Słowianie szląscy błogą cieszą się nadzieją, że i im wkrótce będzie wolno z dobrodziejstw konstytucyi, tak jak innym państwa obywatelom, korzystać.

Polacy i Czesi w radzie państwa.

Pod tytułem takim umieścili w tym czasie, wychodzące w Pradze jako codzienne wielkie pismo polityczne, „České Nowiny“, obszerny artykuł. Uważając ciekawem to dla naszych czytelników co o stanowisku delegacyi polskiej w austriackiej radzie państwa mówią Czesi, z którymi spólne interesa tam mamy, najciekawsze dla nas ustępy tego artykułu następująco podajemy.

„Delegacya polska zajmuje w radzie państwa bardzo ważne stanowisko i ma wielkie znaczenie. Nie jest to od dziś dopiero lecz już od dość dawna. — Słyszymy jednak nieraz zarzut, że delegacya polska z czeską nie może się porozumieć, ponieważ Polacy mają w ogóle inne stanowisko w Austrii niż Czesi.

Na nas spada głównie cała nieprzyjaźń Niemców, skutkiem naszego jeograficznego położenia, a nie mniej i z tej przyczyny, że myśl łączności słowiańskiej na czeskiej glebie się zrodziła i chodowała. Królestwo czeskie zawadza Niemcom, albowiem jest wyspą w morzu Germanów. Gdyby Czechów nie było Niemcy posunęliby się aż do Adryatyku. Dla tego używa się wszystkiego, ze strony niemieckiej zaborczości, na zgermanizowanie Czech, w nadziei, że to gwałtem zarówno tak się przeprowadzi jak się tego dokonało w wielkiej części Szląska, że naród czeski wyginie tak jak nadelbiańscy Słowianie, jak w największej części Łużycanie i Szlązacy. Dla tego niemieccy agitatorowie, idąc za swem hasłem: „Das Vaterland muss grösser sein“ (Ojczyzna musi być większa), przeciw nam najgwałtowniej działają i wiedzą, że w tej sprawie mają za sobą całe Niemcy. Ich w obec nas jest: Nic tu nie popuszczać, a narodowość czeską we wszystkim dusić. . . .

Są oni przekonania, że skoro w Czechach dążenie swe przeprowadzą i naród czeski od innych Słowian oderwą, myśl zjednoczenia Niemiec z Austrią będzie sławic zwycięstwo, bo wtenczas żadna moc Przedlitawii od zaboru przez cesarstwo niemieckie nieuchroni.

Takiej przyczyny do wrogiego występowania przeciw Polakom w agitacyjnym obozie niemieckim niema. Owszem, Galicya Niemcom w tem nic nie przeszkadza. Polacy prócz tego mają obok wielkie państwo słowiańskie, na wschodzie samoistnie stojące. Przeto zdrowa polityka radzi Niemcom, aby z Polakami postępowało się całkiem inaczej jak z Czechami. Byli by też Niemcy

artem odprawiał. Cieszyli się więc wszyscy i bawili wesoło w jego gronie, bo nic w tej chwili im nie przeszkadzało, a mieli czas wolny. Czegoż młodzieży więcej potrzeba do wesołości?

Tymczasem gazdowie i gazdżiny rozmawiali o gospodarstwie domowem, o sprawach gminnych, o dziedzicach wielkich posiadłości, ich rządach i służbie lasowej, niezapomniano rozebrać kwestę sporną małżeństwa S., ostro skrytykować postępowanie sąsiada M. nie szczędzono współczucia świeżo owdowiałej młodej jeszcze osobie i biednym sierotom po s. p. D. Czasem, kiedy zbyt głośne wybuchy wesołości wśród grona młodzieży, uniemożliwiły chwilowo dalszą gawędkę, starsi z uśmiechem spojrzeli na młodzież i głowami pokiwali mówiąc — ot — i myśmy niegdys tacy byli — i znówu dalej wątek pogadanki swęj sunli.

Kiedy pierwsze cienie wieczoru zapadły i ostatnie promienie słońca zgasły na niebie, wszyscy goście pożegnawszy się serdecznie, przyczem starzy robili znak krzyża nad dziećmiem, chatę ich opuścili.

Ostatnimi z odchodzących byli chrzestni rodzice „potkowie“, oboje, według starego zwyczaju, ogromną „plecianką“ (struclą) obdarzeni.

Dnia następnego, kiedy pierwsze brzasku rumieńce, od strony Czantoryi, wychodząc pomału z po za jej szczytu, niebo upiękniały, Paweł już dążył ku Cieszynu.

Na kiju dźwigał, zarzucony na plecy, tłómaczek; była tam jego żywność na przyszły tydzień; miareczka ziemniaków, bochenek chleba, kwarta kaszy tatarskiej

nej i kawałek krasnawki; bez wiedzy męża, bo on „zbyt ków“ nie lubił, dodała tam troskliwa matka kawał wędliny i trochę grysiku. Mimo rumieńców kwitnących na jego licu, matce się zawsze zdawało, że chłopak nędznieje; wszak też i ona miała swój rozum, wiedziała że nauka trawi człowieka. Przy pożegnaniu, na „wszelki wypadek“ — bo też to człowiek nigdy nie wie, co niespodzianie nań spaść może, — wsunęła mu do kieszeni nowiuteńki reńskowy srebrnik, zaoszczędzony z jej szczupłych dochodów.

Ojciec, zawsze rumiany, zdrów i czerstwy chociaż włos już miał szpakowaty, z pozoru okrutnie surowy, ale w rzeczywistości serca łagodnego, ludzki i dobrotliwy, niby nie widząc tych pieszczot matki, na pożegnanie syna głową tylko kiwnął a pod nosem coś mruknął. Długo odchodzącego ściagały oczy czulej matki, a gdy znikł za lasami, jeszcze westchnienie za nim posłała.

Skowroneczek ku niebu zanosił swą piosnkę poranną; w oddali brzęczały dzwonki pasącego się bydła, a kiedy ostatnią wioski minął chałupę, nagle za nim zabrzmiał, nucony pełnym głosem — „powolny“ (polonez). Mimo tęsknoty za chatą rodzinną i wioską, czuł się w tej chwili wesoły i uradowany.

Na błogockiej kępie, nad miastem, przystanął trochę; nigdy nie przeszedł on tą drogą, żeby okiem nie powiódł w około. Otaczał też tu widza prawdziwie rajski krajobraz.

W oddaleniu dwóch mil za nim, ciągnęło się, od wschodniej ku południowo-zachodniej kraju granicy pasmo Karpackich gór „Beskidów“, pokrytych lasami,

gdzie niegdzie wyciętymi od dołu, i uwieńczonymi złościami łany owsa i krzycy, lub świeżą zielonością ziemniakowych zagonów. W połowie tego pasma, gdzie góry niskim pagórkom ustąpiły miejsca, z dala, ze mgły, przez jabłonkowski przesmyk, ciekawie spoglądały Tatry na ten przedcudny zakątek. Od gór aż po za Bielsko, Skoczów, Cieszyn i Frydek, miast leżących w prostej prawie linii, równoległej z pasmem gór, pagórki coraz niższe w gzygzakach się spuszczały ku dolinie, jakby odprowadzały, spieszące w daleką podróż siostrzyczki, rzeki: Białkę, Wisłę, Olzę i Ostrawicę. Tuż pod nim na lewo, Olza srebrzystą wstęgą, wąską przerzynała dolinkę. Tu na niskim pagórku, przylepiony jak gniazdo jaskółcze zameczek*) przypominał widzowi krwawe dzieje trzydziestoletniej wojny. Przed nim na zachodniej pochyłości wzgórze, rozciągał się Cieszyn, ta prastara Piastów siedziba. Za miastem, na pagórku kocobędzkim, druga pamiątka**) opowiadała o dawniej świetności panujących tu książąt. Ztąd równie widać było zameczek myśliwski księżnej Lukrecyi.***) Dobry kawał po za miastem zdaleka, szeroka rozciągała się równina, na jej widnokręgu słabo od nieba odbijał się kościół mszański.****) Gdzie tylko spojrzal, czy ku górom na pagórki, czy na równinę, wszędzie, wśród złocistych łąk, wśród lasów i bujnej zieloności, przeświecały białe ściany gęsto rozsianych chat wiejskich, ogródkami

*) błogocki, zbudowany przez osiadłego tu oficera szwedzkiego Spensa von Boden.

**) zamek kocobędzki, obecnie mieszczący szkołę rolniczą.

***) W Markłowicach obecnie spichlerze.

****) na pruskim szląsku, słynny z odpustów.

chętni dać Galicyi całkiem samoistne prawno państwowe stanowisko. Nie mieliby nic przeciw temu, gdyby w Austrii, zamiast dualizmu, utworzyć trializmus, przynajmniej na ten czas, dopóki by się im nie udało pochłonać Czechów. Oderwać Polaków od Czechów, szczepić między nimi niezgodę, niedopuszczać aby się na siebie oglądali, oto ku temu było wszelkie usiłowanie centralistów skierowane.

Nie ma też żadnej wątpliwości, że stanowisko Polaków w Wiedniu w ogóle, a delegacji polskiej w szczególności, było tak dalece szczęśliwsze niż nasze, że gdy rochodzilo się o to, komu między Czechami a Polakami dać pierwszeństwo, centraliści nie byli nigdy innej myśli tylko że Polakom. Jeśli nie dla czego innego, to już dla tego, aby niedowierzanie, niechęć i niezgodę między obydwojema bratnimi narodami słowiańskimi podniecać i utrzymywać. Nie godzi się wszakże zapomnieć na to, że centraliści i w ogóle liberaliści niemieccy, nie byli nigdy rzeczywistymi przyjaciółmi Polaków. Starali się tylko wyzyskiwać ich na swoją korzyść, co też Polakom bardzo dobrze znanem było. Dlatego Polacy nie mieli nigdy z centralistami bliższych stosunków jak konieczne, a obracali wzrok swój zawsze głównie ku Koronie, ku Cesarzowi. Nie ma też żadnej wątpliwości, że za wszystko tylko Jemu dziękować mają, a centralistom za nic. Polacy zrozumieli bardzo dobrze położenie swoje w Austrii, a że prowadzili dobrą politykę, o tem osiągnięte korzyści i ich tak ważne terażniejsze stanowisko świadectwo dają.

Ze centraliści chcą ich jedynie na swoją korzyść przeciw innym Słowianom, szczególnie przeciw narodowi czeskiemu, wyzyskiwać, a zresztą są im takimi samymi nieprzyjaciółmi jak nam Czechom, oraz żeby się później tak samo na nich obrócili jak teraz na nas i Polaków w państwie niemieckim, to Polakom nie było niewiadome i dla tego też za narzędzie użyć się im nie dali. Kiedykolwiek zaś mieli centraliści choć trochę wolne ręce, zaraz się przeciw Polakom obracali i dane im prawa ograniczali, jak się to dowodnie w sprawie szkolnej rady galicyjskiej wykazało.

Jeśli więc było i jest stanowisko Polaków w Wiedniu korzystniejsze jak nasze, leżała przyczyna rzeczywista tego w polityce polskiej w obec Korony, a nieczęści w pewnej dla nich przychylności centralistów. Polacy poznali, że zapowiada im korzyść jedynie największe zbliżenie się do Korony i nie omylili się, gdyż Korona, zaraz od początku życia konstytucyjnego w państwie, zwrok swój na Polaków obróciła, a hr. Gołuchowski, dzielny Polak, powołany został na pierwszego austriackiego ministra stanu.

Z tych przyczyn różniła się od początku polityka polska od czeskiej. Wszakże zesłała się z nią już w r. 1869, gdy Polacy, idąc za memorandum mniejszości ministerstwa (Taaffe, Berger i Potocki), wystąpieniem z rady państwa mieszczańskie ministerstwo do upadku przywiedli. Wtenczas był też Polak, hr. Potocki, powołany do pośredniczenia między narodem czeskim i Koroną, a szkoda wielka, że pośrednictwo to się nie

powiodło. . . . Wreszcie przecież, po doznaniu ciężkich i bolesnych doświadczeń, znaleźliśmy się teraz z Polakami w jednym politycznym obozie.

Tyle zdawało nam się właściwem powiedzieć, na odparcie zarzutu, jakoby stanowisko nasze i Polaków nie mogło być porównane, z powodu że Polacy przyszli do terażniejszego swego znaczenia przez przyjaźń z centralistami. Przenigdy . . . Polacy łączności z centralistami nie szukali, owszem wprost się od nich usuwali i tak postępowali, aby stanowisko ich obalić. Polakom dopomogła dobra polityka starania się o osiągnięcie życzliwości i obrony u Cesarza.

Wszakże dobra ta to polityka była spowodowana zaletami i organizacją, które z Polaków czyniły rzeczywistą siłę, na jaką można było liczyć, na jakiej poważny cel oprzeć było można. Przytem narodowa społeczność polska miała i ma w swojej szlachcie znamienitych reprezentantów, którzy niezamieszkali żadnej sposobności, aby sympatyę dworu i decydujących w rządzeniu państwem osób pozyskać i narodowi swemu zapewnić. Pomnijmy tylko na liczne, wspaniałe deputacje szlachty polskiej do dworu, kiedykolwiek była tam jaka rodzinna uroczystość. Deputacje te, występujące zawsze w bogatym i malowniczym narodowym stroju, musiały niechybnie zostawiać dobre wrażenie i zwracać uwagę na pojedyncze odznaczające się osobistości, o których potem była zawsze mowa gdy rozchodziło się o ważne sprawy państwa. Jednem słowem: szlachta polska umiała to przedstawić, że jest do władzy zdolna.

Obok tego miano też wszelkie staranie o to, aby delegacja polska do rady państwa składała się z osób najzdolniejszych i aby wszyscy jej członkowie odznaczali się w każdym względzie najlepszą kwalifikacją.

Dosięło się też tego w pełnej mierze. Dziś można powiedzieć, że delegacja polska ma znakomitych mówców, którzy mogą się mierzyć z mówcami centralistów a nawet trzymać ich w szachu, niemniej, też że liczy najwyborniejszych specjalnych znawców z całej izby. Gdy rozchodzi się o jakąkolwiek sprawę specjalną, wymagającą głębokich szczegółowych badań, Polacy mogą się wykazać, jeżeli nie kilkoma to przynajmniej jednym znawcą. Nie jest też to nic przesadnego, gdy powiemy, że Polacy przez to w obecnym czasie są w stanie wszystkie ministerstwa obsadzić wybornymi, z pośród siebie, siłami. Oto zasiadają już teraz dwa Polacy w radzie Korony, a jaką zdolnością w zawodzie finansowym odznacza się Dr. Dunajewski, to widzimy z powszechnego gniewu strony centralistycznej, która odniosła w walce przeciw niemu tyle już porażki, że staje się teraz oględniejszą i ostrożniejszą, przekonawszy się, że o wiele ją przerósł.

Ze Polacy tak daleko doszli w zdolności parlamentarnej, mają dziękować jedynie sobie, albowiem zużytkowali rozumnie i z obmyślanym planem tych lat 20, przez ciąg których w radzie państwa zasiadają. Szli według pewnego programu: „aby krok za krokiem, po trochu, coraz więcej gruntu sobie zdobywając, dojść

do siły i znaczenia.“ Występowali przeto z największą skromnością, nieporuszali przeciw sobie nikogo, ale starali się pozyskiwać przyjaciół. Głównie zaś chwycili się nabywania wiedzy, zbierania wiadomości i doświadczeń, a taktykę tę i dziś jeszcze prowadzą, chociaż doszli już do siły i stanowiska decydującego. Na pouczeniu się i studyowaniu opiera się cała ich klubowa organizacja. Posiedzenia ich klubu odbywają się nie lada jak i aby tylko były, lecz całkiem prawidłowo, a panuje w nich porządek i karność. Czas nie marnuje się tam na płonem mówieniu. Nieścierpiałoby się w polskim klubie, aby ktoś dużo mówił dla tego, że mówić lubi, lub że się uważa za osobistość około której inni się skupiają, albowiem czegoś podobnego dopuszczać się mogą tylko puste głowy, a takich w polskim klubie niema. Czasu używa się jaknajpożyteczniej do takiego sposobienia całej delegacji, aby była przygotowana jaknajbardziej szczegółowo do każdej sprawy i mogła przy niej interesów kraju swego należycie bronić.

To też każdy wniosek przedłożony radzie państwa, musi w polskim klubie przejść wszystkie stadya, jak na pełnem posiedzeniu izby. Jest klub polski podzielony na sekcye czyli wydziały, (szkolny, podatkowy, prawniczy, ekonomiczny i t. d.); przekazuje się więc wniosek najprzód odnośnej sekcji, która wybierze dla niego osobnego sprawozdawcę. Ten ma za zadanie zebrać odnośny do powierzonej sobie sprawy materiał i zbadać ją we wszystkich szczegółach, ku czemu dostarcza się mu, za staraniem klubu, wszystko co jest do tego potrzebne, jakoto: książki, sprawozdania, czasopisma i t. p. Tem sam prezes klubu, były minister Grocholski, o którym się między publicznością mało mówi, a który jest samą skromnością, najwięcej się zajmuje. Obchodząc wszystkie ministerjalne kancelarye zbiera potrzebne materiały, zwłaszcza daty statystyczne, jakie następnie doręcza sprawozdawcy i z nim razem takowe bada. Skoro sprawozdawca jest już gotów, przedłoży sprawę swej sekcji, zanim przyjdzie na pełne posiedzenie klubu, które nie różni się od obrad parlamentu. Najprzód sprawozdawca przedstawia sprawę; o niej przeprowadzi się jeneralną debatę; następnie rozprawę szczegółową o pojedynczych częściach, zupełnie tak jak w pełnym parlamencie. Tym sposobem osiąga się, że klub polski przy wszystkich sprawach jaknajdokładniej jest przygotowany, więc też wie czego chce i nie musi się spuszczać na przypadek. Może przy każdej sprawie wyznaczyć kilku mówców do rozpraw w izbie, a z tych każdy wie jak ma polskie stanowisko bronić; prócz tego zaś ma jeszcze do każdej sprawy jednego dobrego fachowego znawcę albo i więcej ich, a ci znajomością rzeczy górują nad centralistycznymi specjalistami. Takim specjalistą, przed którym sami centraliści czoło uchylali, był w sprawie podatku gruntowego, zmarły Krzeczunowicz, który zasługuje, aby mu Galicya wystawiła wspaniały pomnik; takim specjalistą jest w sprawach ekonomicznych Jaworski i Hausner; takim specjalistą w sprawach podatkowych będzie młody hr. Dzieduszycki, który był sprawozdawcą

owocowymi opasanych. Tu i owdzie sterczące po nad domami wieżyce kościolków, jak ojcowie nad działwą czuwały.

Paweł już chwilę stał tu nieruchomo, wpatrując się w ten widok, aż tu niespodzianie w krzakach nad Olzą zaśpiewał sobie jakiś pastuszek znaną piosnkę:

„Jakem chodził do szkoły
Uczył się litery
Jedna, dwie, trzy, cztery,
To są piękne litery.“

Słyszając tę piosnkę, Paweł uśmiechnął się i dalej ruszył do miasta, bo i on jeszcze powtórzyć musiał lekcję zadaną, a czasu już nie wiele zbywało.

Kiedy przechodził obok wspaniałego kościoła ewangelickiego, zbudowanego nad miastem, prawie naprzeciwko wieżyce piastowskiej, wzniesionej na wzgórzu zamkowe, w mieście dzwony zwoływały nabożnych na mszę świętą. W mieszkaniu, dosyć obszernej izdebce, którą dzielił z kolegą Jerzym, dwojga mniejszymi chłopakami i gospodynią, pierwszy z niecierpliwością już wyczekiwał jego przybycia. Jerzy był synem zamożnego młynarza. Jego ojciec, człowiek wielce przedsiębiorczy, sprytny a bystry, ale bez wyższego wykształcenia, z ubożego parobczaka dorobił się majątku i poważnego stanowiska. W ostatnich czasach dał mu się uczuć brak wykształcenia; nie mógł się wzbic wyżej w swoim zawodzie. Niestety nie poznał on, na czem to polega, widząc i stykając się z inteligentną niemiecką, sądził że polega ona na języku; przypisywał więc swoje nieuctwo brakowi znajomości języka nie-

mieckiego. Nie umiał nawet dokładnie ojczystego języka, ale uniesiony prądem chwili, w znajomości obcego upatrywał wspaniałą. Nie wiedział, że tylko ogólna wiedza i specjalne wykształcenie w swoim zawodzie, pozyskane za pomocą języka ojczystego, palnę zwycięstwa nad współzawodnikami w jego ręce oddać mogły.

Nieraz, gdy się zastanowił, czuł w sobie jakąś wyższość nad współzawodnikami, mimo braku specjalnego wykształcenia, bo był nadzwyczajnie praktycznym; wtedy widniło mu się, że jego wniosek musi być fałszywy; ale niezadługo znowu do niego powracał.

Ten stan niepewny i ciągła chwiejność zupełnie spaczyły jego zdrowy rozum.

Nie więc dziwnego, że dzieci swoje chciał po niemiecku dać wychować.

Sam nie znał wartości języka rodzinnego, więc też nie pojmował że jest gotowym materiałem do nauki, a poświęcanie czasu dla wyuczenia się języka obcego, mającego być pośrednikiem do niej, jest marnowaniem czasu, bo czas ten może już wprost być użytym do rozwoju młodocianych umysłów.

Nie przeczuwał, że stwarza dziwolągi, które kiedyś narzekać by mogły, że dla powierzchownego, fałszywego poloru, wydał im mowę ojczystą, obcymi zrobił w rodzinnym kraju.

Dla wychowania więc oddał swe córki do niemieckiego klasztoru, a syn Jerzy po ukończeniu szkół cieszyńskich, wyższą naukę pobierał miał w Niemczech.

Jerzy, pod wielu względami podobnym był do ojca; ta sama chwiejność i niepewność każdą działal-

ność jego charakteryzowały; dla tego też ciągle szukał pewnej podpory. W Pawle przeczuwał wyższość, chociaż nie wiedział na czem ona polegała; do niego też dziwnie się przywiązał.

Paweł wyzyskiwał tę uległość Jerzego; powoli — nieznanie ciągle z nim obcowaniem — wzmacniał jego charakter, rozbudzał w nim samodzielność.

W rozmowach z nim konsekwentnie posługiwał się rodzinnym językiem polskim, chociaż ten z razu odpowiadał po niemiecku.

Podczas niebytności Pawła, Jerzy przypadkowo dostał pod rękę znane „Pamiętniki o studentach wileńskich.“ Schował książeczkę tę do kieszeni, zamyslał nią bowiem niespodziankę sprawić Pawłowi.

Dnia poprzedniego popołudniu spacerował po starych szanłach, za kościołem ewangelickim, tuż obok drogi, którą teraz Paweł przechodził, a nudząc się cokolwiek, wyjął książeczkę z kieszeni — ot — i zaczął czytać.

Z początku częste ziewania towarzyszyły tej rozrywce umysłowej, bo nie oswojonemu z książką polską zrazu trudność sprawiało sylabizowanie; ale nie długo to jakoś trwało. Nadspodziewanie zaciekiwała go treść. Niebawem spostrzegł, że dość płynnie już czyta; przetrząsnął więc kartki, na nowo rozpoczynając swą lekturę od stronicy pierwszej z pełną uwagę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

chętni dać Galicyi całkiem samoistne prawno państwowe stanowisko. Nie mieliby nic przeciw temu, gdyby w Austrii, zamiast dualizmu, utworzyć trializm, przynajmniej na ten czas, dopóki by się im nie udało pochłoniąć Czechów. Oderwać Polaków od Czechów, szczepić między nimi niezgodę, niedopuszczać aby się na siebie oglądali, oto ku temu było wszelkie usiłowanie centralistów skierowane.

Nie ma też żadnej wątpliwości, że stanowisko Polaków w Wiedniu w ogóle, a delegacyi polskiej w szczególności, było tak dalece szczęśliwsze niż nasze, że gdy rochodzilo się o to, komu między Czechami a Polakami dać pierwszeństwo, centraliści nie byli nigdy innej myśli tylko że Polakom. Jeśli nie dla czego innego, to już dla tego, aby niedowierzanie, niechęć i niezgodę między obydwojema bratnimi narodami słowiańskimi podniecać i utrzymywać. Nie godzi się wszakże zapomnieć na to, że centraliści i w ogóle liberaliści niemieccy, nie byli nigdy rzeczywistymi przyjaciółmi Polaków. Starali się tylko wyzyskiwać ich na swoją korzyść, co też Polakom bardzo dobrze znanem było. Dlatego Polacy nie mieli nigdy z centralistami bliższych stosunków jak konieczne, a obracali wzrok swój zawsze głównie ku Koronie, ku Cesarzowi. Nie ma też żadnej wątpliwości, że za wszystko tylko Jemu dziękować mają, a centralistom za nic. Polacy zrozumieli bardzo dobrze położenie swoje w Austrii, a że prowadzili dobrą politykę, o tem osiągnięte korzyści i ich tak ważne terażniejsze stanowisko świadectwo dają.

Ze centraliści chcą ich jedynie na swoją korzyść przeciw innym Słowianom, szczególnie przeciw narodowi czeskiemu, wyzyskiwać, a zresztą są im takimi samymi nieprzyjaciółmi jak nam Czechom, oraz żeby się później tak samo na nich obrócili jak teraz na nas i Polaków w państwie niemieckim, to Polakom nie było niewiadome i dla tego też za narzędzie użyć się im nie dali. Kiedykolwiek zaś mieli centraliści choć trochę wolne ręce, zaraz się przeciw Polakom obracali i dane im prawa ograniczali, jak się to dowodnie w sprawie szkolnej rady galicyjskiej wykazało.

Jeśli więc było i jest stanowisko Polaków w Wiedniu korzystniejsze jak nasze, leżała przyczyna rzeczywista tego w polityce polskiej w obec Korony, a nie w części w pewnej dla nich przychylności centralistów. Polacy poznali, że zapowiada im korzyść jedynie największe zbliżenie się do Korony i nie omylili się, gdyż Korona, zaraz od początku życia konstytucyjnego w państwie, zwrok swój na Polaków obróciła, a hr. Gołuchowski, dzielny Polak, powołany został na pierwszego austriackiego ministra stanu.

Z tych przyczyn różniła się od początku polityka polska od czeskiej. Wszakże zesłała się z nią już w r. 1869, gdy Polacy, idąc za memorandum mniejszości ministerstwa (Taaffe, Berger i Potocki), wystąpieniem z rady państwa mieszczańskie ministerstwo do upadku przywiedli. Wtenczas był też Polak, hr. Potocki, powołany do pośredniczenia między narodem czeskim i Koroną, a szkoda wielka, że pośrednictwo to się nie

powiodło. . . . Wreszcie przecież, po doznaniu ciężkich i bolesnych doświadczeń, znaleźliśmy się teraz z Polakami w jednym politycznym obozie.

Tyle zdawało nam się właściwym powiedzieć, na odparcie zarzutu, jakoby stanowisko nasze i Polaków nie mogło być porównane, z powodu że Polacy przyszedli do terażniejszego swego znaczenia przez przyjaźń z centralistami. Przenigdy . . . Polacy łączności z centralistami nie szukali, owszem wprost się od nich usuwali i tak postępowali, aby stanowisko ich obalić. Polakom dopomogła dobra polityka starania się o osiągnięcie życzliwości i obrony u Cesarza.

Wszakże dobra ta to polityka była spowodowana zaletami i organizacją, które z Polaków czyniły rzeczywistą siłę, na jaką można było liczyć, na jakiej poważny cel oprzeć było można. Przytem narodowa społeczność polska miała i ma w swojej szlachcie znamienitych reprezentantów, którzy niezamieszkali żadnej sposobności, aby sympatyę dworu i decydujących w rządzeniu państwem osób pozyskać i narodowi swemu zapewnić. Pomnijmy tylko na liczne, wspaniałe deputacje szlachty polskiej do dworu, kiedykolwiek była tam jaka rodzinna uroczystość. Deputacje te, występujące zawsze w bogatym i malowniczym narodowym stroju, musiały niechybnie zostawiać dobre wrażenie i zwracać uwagę na pojedyncze odznaczające się osobistości, o których potem była zawsze mowa gdy rozchodziło się o ważne sprawy państwa. Jednym słowem: szlachta polska umiała to przedstawić, że jest do władzy zdolna.

Obok tego miano też wszelkie staranie o to, aby delegacya polska do rady państwa składała się z osób najzdolniejszych i aby wszyscy jej członkowie odznaczali się w każdym względzie najlepszą kwalifikacją.

Dosięło się też tego w pełnej mierze. Dziś można powiedzieć, że delegacya polska ma znakomitych mówców, którzy mogą się mierzyć z mówcami centralistów a nawet trzymać ich w szachu, niemniej, też że liczy najwyborniejszych specjalnych znawców z całej izby. Gdy rozchodzi się o jakąkolwiek sprawę specjalną, wymagającą głębokich szczegółowych badań, Polacy mogą się wykazać, jeżeli nie kilkoma to przynajmniej jednym znawcą. Nie jest też to nic przesadnego, gdy powiemy, że Polacy przez to w obecnym czasie są w stanie wszystkie ministerstwa obsadzić wybornymi, z pośród siebie, siłami. Oto zasiadają już teraz dwa Polacy w radzie Korony, a jaką zdolnością w zawodzie finansowym odznacza się Dr. Dunajewski, to widzimy z powszechnego gwień strony centralistycznej, która odniosła w walce przeciw niemu tyle już porażki, że staje się teraz oględniejszą i ostrożniejszą, przekonawszy się, że o wiele ją przerósł.

Ze Polacy tak daleko doszli w zdolności parlamentarnej, mają dziękować jedynie sobie, albowiem zużytkowali rozumnie i z obmyślanym planem tych lat 20, przez ciąg których w radzie państwa zasiadają. Szli według pewnego programu: „aby krok za krokiem, po trochu, coraz więcej gruntu sobie zdobywając, dojść

do siły i znaczenia.“ Występowali przeto z największą skromnością, nieporuszali przeciw sobie nikogo, ale starali się pozyskiwać przyjaciół. Głównie zaś chwycili się nabywania wiedzy, zbierania wiadomości i doświadczeń, a taktykę tę i dziś jeszcze prowadzą, chociaż doszli już do siły i stanowiska decydującego. Na pouczeniu się i studyowaniu opiera się cała ich klubowa organizacya. Posiedzenia ich klubu odbywają się nie ladajak i aby tylko były, lecz całkiem prawidłowo, a panuje w nich porządek i karność. Czas nie marnuje się tam na płonem mówieniu. Nieścierpiałoby się w polskim klubie, aby ktoś dużo mówił dla tego, że mówić lubi, lub że się uważa za osobistość około której inni się skupiają, albowiem czegoś podobnego dopuszczać się mogą tylko puste głowy, a takich w polskim klubie niema. Czasu używa się jaknajpożyteczniej do takiego sposobienia całej delegacyi, aby była przygotowana jaknajbardziej szczegółowo do każdej sprawy i mogła przy niej interesów kraju swego należycie bronić.

To też każdy wniosek przedłożony radzie państwa, musi w polskim klubie przejść wszystkie stadya, jak na pełnem posiedzeniu izby. Jest klub polski podzielony na sekcye czyli wydziały, (szkolny, podatkowy, prawniczy, ekonomiczny i t. d.); przekazuje się więc wniosek najprzód odnośnej sekcji, która wybierze dla niego osobnego sprawozdawcę. Ten ma za zadanie zebrać odnośny do powierzonej sobie sprawy materiał i zbadać ją we wszystkich szczegółach, ku czemu dostarcza się mu, za staraniem klubu, wszystko co jest do tego potrzebne, jakoto: książki, sprawozdania, czasopisma i t. p. Tem sam prezes klubu, były minister Grocholski, o którym się między publicznością mało mówi, a który jest samą skromnością, najwięcej się zajmuje. Obchodząc wszystkie ministeryjne kancelarye zbiera potrzebne materiały, zwłaszcza daty statystyczne, jakie następnie doręcza sprawozdawcy i z nim razem takowe bada. Skoro sprawozdawca jest już gotów, przedłoży sprawę swej sekcji, zanim przyjdzie na pełne posiedzenie klubu, które nie różni się od obrad parlamentu. Najprzód sprawozdawca przedstawia sprawę; o niej przeprowadzi się jeneralną debatę; następnie rozprawę szczegółową o pojedynczych częściach, zupełnie tak jak w pełnym parlamencie. Tym sposobem osiąga się, że klub polski przy wszystkich sprawach jaknajdokładniej jest przygotowany, więc też wie czego chce i nie musi się spuszczać na przypadek. Może przy każdej sprawie wyznaczyć kilku mówców do rozpraw w izbie, a z tych każdy wie jak ma polskie stanowisko bronić; prócz tego zaś ma jeszcze do każdej sprawy jednego dobrego fachowego znawcę albo i więcej ich, a ci znajomością rzeczy górują nad centralistycznymi specjalistami. Takim specjalistą, przed którym sami centraliści czoło uchylali, był w sprawie podatku gruntowego, zmarły Krzecunowicz, który zasługuje, aby mu Galicya wystawiła wspaniały pomnik; takim specjalistą jest w sprawach ekonomicznych Jaworski i Hausner; takim specjalistą w sprawach podatkowych będzie młody hr. Dzieduszycki, który był sprawozdawcą

owocowymi opasanych. Tu i owdzie sterczące po nad domami wieżyce kościolków, jak ojcowie nad dziatwą czuwały.

Paweł już chwilę stał tu nieruchomo, wpatrując się w ten widok, aż tu niespodzianie w krzakach nad Olzą zaśpiewał sobie jakiś pastuszek znaną piosnkę:

„Jakem chodził do szkoły
Uczył się litery
Jedna, dwie, trzy, cztery,
To są piękne litery.“

Słyszając tę piosnkę, Paweł uśmiechnął się i dalej ruszył do miasta, bo i on jeszcze powtórzyć musiał lekcję zadaną, a czasu już nie wiele zbywało.

Kiedy przechodził obok wspaniałego kościoła ewangelickiego, zbudowanego nad miastem, prawie naprzeciwko wieżycy piastowskiej, wzniesionej na wzgórzu zamkowe, w mieście dzwony zwoływały nabożnych na mszę świętą. W mieszkaniu, dosyć obszernej izdebce, którą dzielił z kolegą Jerzym, dwojga mniejszymi chłopakami i gospodynią, pierwszy z niecierpliwością już wyczekiwał jego przybycia. Jerzy był synem zamożnego młynarza. Jego ojciec, człowiek wielce przedsiębiorczy, sprytny a bystry, ale bez wyższego wykształcenia, z ubożego parobczaka dorobił się majątku i poważnego stanowiska. W ostatnich czasach dał mu się uczuć brak wykształcenia; nie mógł się wzbić wyżej w swoim zawodzie. Niestety nie poznał on, na czym to polega; widząc i stykając się z rodziną z inteligencyą niemiecką, sądził że polega ona na języku; przypisywał więc swoje nieuctwo brakowi znajomości języka nie-

mieckiego. Nie umiał nawet dokładnie ojczystego języka, ale uniesiony prądem chwili, w znajomości obcego upatrywał wszechwiedzę. Nie wiedział, że tylko ogólna wiedza i specjalne wykształcenie w swoim zawodzie, pozyskane za pomocą języka ojczystego, palmę zwycięstwa nad współzawodnikami w jego ręce oddać mogły.

Nieraz, gdy się zastanowił, czuł w sobie jakąś wyższość nad współzawodnikami, mimo braku specjalnego wykształcenia, bo był nadzwyczajnie praktycznym; wtedy widniło mu się, że jego wniosek musi być fałszywy; ale niezadługo znowu do niego powracał.

Ten stan niepewny i ciągła chwiejność zupełnie spaczyły jego zdrowy rozum.

Nic więc dziwnego, że dzieci swoje chciał po niemiecku dać wychować.

Sam nie znał wartości języka rodzinnego, więc też nie pojmował że jest gotowym materiałem do nauki, a poświęcanie czasu dla wyuczenia się języka obcego, mającego być pośrednikiem do niej, jest marnowaniem czasu, bo czas ten może już wprost być użytym do rozwoju młodocianych umysłów.

Nie przeczuwał, że stwarza dziwolągi, które kiedys narzekać by mogły, że dla powierzchownego, fałszywego poloru, wydał im mowę ojczystą, obcymi zrobił w rodzinnym kraju.

Dla wychowania więc oddał swe córki do niemieckiego klasztoru, a syn Jerzy po ukończeniu szkół cieszyńskich, wyższą naukę pobierał w Niemczech.

Jerzy, pod wielu względami podobnym był do ojca; ta sama chwiejność i niepewność każdą działal-

ność jego charakteryzowały; dla tego też ciągle szukał pewnej podpory. W Pawle przeczuwał wyższość, chociaż nie wiedział na czym ona polegała; do niego też dziwnie się przywiązał.

Paweł wyzyskiwał tę uległość Jerzego; powoli — nieznanie ciągiem z nim obcowaniem — wzmacniał jego charakter, rozbudzał w nim samodzielność.

W rozmowach z nim konsekwentnie posługiwał się rodzinnym językiem polskim, chociaż ten z razu odpowiadał po niemiecku.

Podczas niebytności Pawła, Jerzy przypadkowo dostał pod rękę znane „Pamiętniki o studentach wileńskich.“ Schował książeczkę tę do kieszeni; zamyslał nią bowiem niespodziankę sprawić Pawłowi.

Dnia poprzedniego popołudniu spacerował po starych szanłach, za kościołem ewangelickim, tuż obok drogi, którą teraz Paweł przechodził, a nudząc się cokolwiek, wyjął książeczkę z kieszeni — ot — i zaczął czytać.

Z początku częste ziewania towarzyszyły tej rozrywce umysłowej, bo nie oswojonemu z książką polską, zrazu trudność sprawiało sylabizowanie; ale nie długo to jakoś trwało. Nadspodziewanie zaciekiwała go tres. Niebawem spostrzegł, że dość płynnie już czyta; prz rzucił więc kartki, na nowo rozpoczynając swą lekturę od stronnicy pierwszej z pełną uwagą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)